

BIBLIOTECZKA NARODOWA

ZYGMUNT KRASIŃSKI



534
NOC LETNIA

• Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

Nr 38

Cena kop. 12

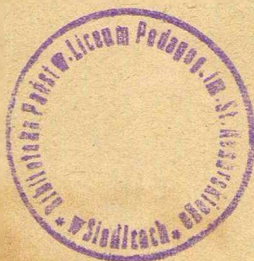
BIBLIOTECHKA NARODOWA Nr. 32.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

NOC LETNIA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



Kwa
Noc

534.

DRUKIEM M. ARCTA w WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

1910

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski — Marya.

O, patrzcie na mnie, współziemianie, obywatela jednej ojczyzny, na mnie, idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa! — Drugi raz nigdy go już nie obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie, o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn. — Acheron jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sojokles — Antygona.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszczę,
Za to potwarzą ściągane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawitość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość anioła;
Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś naksztalt głazu ścierpło i zlodniało,

Lecz wrzкомо tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry, spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą —
— Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś — z bliska czy z daleka,
O serce dumne, o serce stroskane,
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka:
Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie brata;
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata!

Za to, żeś, Siostró, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszczce złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w ten grób nie zstąpiła
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętej miłości
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

VARENNA, 1840, 15 Sierpnia.

I.

Widziałem, kiedy ją wiedli; — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał, jako ciemny cmentarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami. — Sam biskup i powierne kapłany wesółym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach ¹⁾. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwając i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczo-nemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

*

*

*

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej zrzenicach niejasno przebijał promień duszy. — I z jej ust, nieco rozchylonych, trudno się domysleć, wyjdzie-li modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kryśliła w powietrzu; — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

*

*

*

¹⁾ suknia biała, długa, którą kapłani kładą na sobie pod ornat.

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych¹⁾, z dumą w oku starem.—I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszym dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały.— Rzekł więc do otaczających: »Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!« — i sięgnął wzrokiem tak, jak kościół długi, by ujrzeć, azali nie przybywa pan młody — siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

☆

*

*

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło.— O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie.— U bliższym grobu twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a niemi stała opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole!

*

*

*

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szu-

¹⁾ powinowatych.

mem, a wszędzie modre szyszczą piany i w nieskończoność garnie się rozbitcie. — Lecz im nic do tego — sami wrosli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokregiem płynie!

* * *

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, niżkiem witając go czołem; — ledwo raczył niektórym się odklonić i, dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej, klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu. — Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje, połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

* * *

O szyby różnobarwnych okien rozplonął się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu; lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na

pomniku posąg rycerza. — On, jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. — Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczął — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy, co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

* * *

Lecz kiedy świętym obrzędом stało się zadość, kiedy pan młody podniósł żonę a ona padła w ojca objęcia i ojciec ją niósł ku bramom kościoła i tysiąc gromnic szło za niemi i stopniami upływała cisza i kroków odgłosy wolniały, oddalając się, i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i, rozkielznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą, pozostałą nad krzyżem srebrnym, blado oświecony; — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicza, ale ku bramie, którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i, patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i, patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

* * *

Tak w śnie magnetycznym, z odkrytą zrzenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżycy promieniach — potęga, której nie czują, stała się niemi — ona im ręce zboczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno nie-sie, równie dziko pędzi!

* * *

I do owego człowieka zbliżył się mnich, przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: »Ktokolwiek jesteś, bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju pańskiego!« Ale on mu nic nie odpowiedział. — Zatem szedł drugi i rzekł: »Precz z kościoła, bo świętokradzcą jesteś!« Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: »Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć.« — A wtedy wstał winowajca i odparł: »Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną« — i wyszedł powoli, powoli, jakby liczył kroki własne, wiedząc, że ostatnie na ziemi.

* * *

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział, uczył w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienie owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękie ukrytych, płonące zrzenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak

świątecznych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegóż im więcej można życzyć na ziemi? — On wzięty ¹⁾ u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. — Matki nie znaleźć, któraby jej nie zazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył; a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczeta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem.

*

*

*

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów, — na podwórcach tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatkach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańczących szum wzbija się i leci, porwane koła kręcą się, płatają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza, co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i diamenty przyszpila napotkanym dziewczynom do łona. — Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handzary ²⁾ — on na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazją odwilży —

¹⁾ poważany. ²⁾ broń w kształcie noża krzywego.

potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

* * *

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotemi, gzymsami z marmuru wiły się sklepienia i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte.—Staął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego, — ale jej nie ujrzał wśród krążących par ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pisał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia, lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w rękę się jej zostały.

* * *

Starzec cicho przystąpił i przewiodł¹⁾ na sobie, że łagodnym rzekł głosem: «Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Za co jej Bóg nie dozwolił tego dnia doczekać?» — Drżąc, podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż

¹⁾ przemógł.

w dłoni—potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni; przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże. — «Czemu płaczesz, zapytał starzec, jedy-naczko moja?—Wspomnienie matki nie mogło do tyła cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy; w dniu twego na świat przyjscia ona odeszła do ojców.— Ah! tyś się skaleczyła, córko!» — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kol-ców. — Ona mu odparła: «O! nie to mnie boli, ojczy» — potem zaraz dodała: «Owszem to, nie co innego, ojcze!» i zamilkła — lzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: «Widzisz, jaki ja stary jestem, drżą podemną kolana — pro-wadź mnie!» — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Na około nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

*

*

*

W tej chwili odezwał się zegar, przybity do górnego gzymsu—nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładzca wielu królestw dawnych; za każ-dem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jedne-go wojewody i szedł kłaniać się umarłemu panu, potem znikał, roztwierającym się pochłonięty mu-rem.—Przeszło ich dwunastu.—Wtedy z odległych komnat zamku wzniosł się chór niewieścich głosów, zrazu jak szum błędny i nierozgarniony, ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę.— Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, błdną córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swa-tek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić,

a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie naokoło woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

*

*

*

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej, kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad niemi się pali i ze wsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem! — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, i milczy, truchleje. — On rzeki do niej: «Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imie nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą, jak ojcowie moi. — Szanuj szczęście, którem Opatrzność cię uwieńczyła — pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną!»

*

*

*

Te słowa mówił głuchym głosem. — Zdawało się że każdem z nich próbuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: «Czy słyszysz? nadchodzą cię oderwać od łona, na którym wzrosłaś. — Pożegnaj mnie, mówiąc, żeś szczęśliwa!» — Lecz ona, cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — «Dziecię ty, chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej. — Dotąd w spojrzeniu ocz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę

moją oddałem w cudze ręce, bom chciał, by nieznanym zajaśniała blaskiem.— Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno—raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!»

* * *

I z przerwany oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi.— Do połowy nóż tkwi mu już w sercu—jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnięcie może teraz to serce rozerwać.— Ona, wzniosłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskim licu i zdała się przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha.— Zsunawszy się, klęka na głazach, modli się słowami i całą postawą do niego.— Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony.— «Co za imie wyrzekłaś? — Nie powtarzaj go! — Możem nie słyszał dobrze—milcz—milcz! — Nie— ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje za to, że mu świetne losy gotował w przyszłości, za to, że był synem brata mojego! — a jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ah! wraz z nim i ty bądź przeklęta!»

* * *

Podniosła się dziewczica. — Ona dotąd cierpiała w milczeniu, jak smętna ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze — teraz odparła zimno i stanowczo: «Kochałam go, ojciec.» — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazom. — zakreśliło mu się w głowie i zniszczony, jak wszyst-

kie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca; — przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości, a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski, wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiające ślubnej pieśni zwrotki; — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły, śpiewając, i zwolna, śpiewając otaczały oblubienicę śnieżnem kołem. — za każdym słowem zbliżają się bardziej — ~~ona chowa się pod~~ ramionami jego.

BIBLIOTEKA

Panstw. Gimnazjum i Liceum Pedagog.

*

w Siedlcach

Wreszcie objęły ją, porwały i zawłokały, sypiąc kwiaty na podłogę, ~~paląc kadzidła i nowym hymnem~~ głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem z daleka, leniwo — i gdzie rozmięły się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął i nad zemdloną znak błogosławieństwa ostatni raz kryśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna; — stopniami odzyskuje przytomność, woła duszy prawdę, jakby sen zwodliwy, rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

*

*

*

Pan młody przemawiał do przyjaciół: «Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie, drodzy, wam jeszcze i tę noc poświęć! — Ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?» Do okna skoczył jeden z towarzyszy

i krzyknął: «Księżyc dopiero w samym środku nieba.» — «A więc do was jeszcze i z wami» zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił, oprawną złotem, sadzoną dyamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu: — obejrzał się i chwytając za drugi puhar: «Zdrowie twoje, ojczyzna — rzekł — i wy wszyscy spełnijcie je ze mną!» Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał ziemciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci, wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł, potrząsając płowych pukle włosów: «Patrz na tych wesółych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z nimi — do jutrzeńki razem pić będziem i śpiewać. — Tę noc najpierwszą, najmiłszą poświęciłem im». — To mówiąc, porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: «Za to podły buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie». — Wszyscy odkrzyknęli chórem: «Niech żyje książę nasz!» — Zrazu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapal ich wszystkich myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: «Biada buntownikom!»

* * *

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków! — Oni przed nim z pochodniami stają. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali —

teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: «Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu! — Świeżom pojał dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasí, mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją!» — I nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwiał tak blisko — zatem, nalawszy pełne czary, piją chwałę wodza. — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując jak osa. — Oni mu odpowiadają szumem poklasków. — W takich chwilach, duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona ludzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto, jak u zalotnicy.

II.

W pieśniach waszych, ludzie prości, zapamiętana dolina w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali «jarem pożegnania» — i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie, jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami.

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kapają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach czoło-

wiek, co przed godziną wyniósł kłatwę z domu bożego.—Wokoło na piętrach zieloności leżały rozciągnięte lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migając tu i ówdzie uiskrzone bronią.—Znać czekali nań ci wszyscy, bo, jak się tylko ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu.—Lecz żaden okrzyk się nie rozległ.—On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie, obalonym w poprzek strumienia, i głowę schylił i dłoń opuścił między ciekące fale, on pierwszy przerwał milczenie.—Głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźne na serca przytomnych.

«Na czas tylko byłem wodzem waszym.—Zapomnijcie o mnie, ale strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was—w nich prawda, stara jak te skały, jak te gwiazdy święta!»

«Od tysięcy lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię—nie słysząc, by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej.—Jak kłosa niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami—a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha, Wolność—była ich udziałem».

«Nadciągnął król południowy z słuzalców tłumami.—Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby.—Różny od nas wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem!—Hańba

miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszczy schronić się nie śmieli, poddali się najeźdźnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu. — Za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

«I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem. — Jedenże od dwóch lat gród królewski spłonął? — Gdzie ciężko zbrojne najemniki, co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów i wilki noc całą skowyczały z radości! — Lecz, by odzyskać ojców spuściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

«Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męży wyrosli, ludzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garści błota! — Wzniescie oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać! — Lecz kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

«Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem! — Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów. Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postavili nad waszemi młodzieńcy! — Znękane siwym ¹⁾ trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami. — Kiedy was zwołają, zbierzcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie, jakoście zwyciężali ze mną! — Mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!»

*

*

*

¹⁾ przynoszącym siwiznę

Umilkł i zerwał się, widząc, że księżyc już wysoko stoi.— Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo, a ślizgają się cicho i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem, podszedłszy, bliżej staną i wołają: «Gdzie idziesz, wodzu nasz?» — On rękę wyciągnął ku łunie, co za wzgórzami blado płonęła. — «Stój... to ogień wesela zamku przodków twoich odbity na niebie! — My cię nie puścim do tych, którzy cię niecierpią, do tej, która cię zdradziła!» — Na te słowa on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: «Kłamcy, ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią — ale śmierć z nią sobiem zachowałem. — Nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!» — I przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto. — Pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają, — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecują porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że, choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świętem. — On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny, jak za dni dobrych, lecz stanowczy, jak na polu bitwy: «Dzięki wam, bracia, ale starca śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych. — Wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny — on pierwszy serce moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba! — Taki los mój — raz jeszcze: bądźcie mi zdrowi!» — I odszedł

kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał, ale sam do siebie: «Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!» — I mimowolnie wzniosł sztylet w górę — klinga kapłała się w miesięcznych promieniach, jak nowonarodzony meteor, świetlana i czysta.

* * *

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonej głowy, bo wiedzieli, że co raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. — Oddawna krążyły przepowiednie, rokujące mu zgubę. — On sam nieraz, ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że niedaleki dzień rozstania. — A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki, z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i owdzie, przepadały i, znów bielejąc, wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni, piętrami murawy przegrodzeni, ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. — Stąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść: grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy, rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze. — Nim zdołał nań wstąpić, znów go otoczył. — Rzucił się, odepchnął najbliższych i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. — Spadł lekko, pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrzywa pień¹⁾ z pod gła-

¹⁾ pień, tworzący kładkę.

zów, które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień, jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały u tamtego brzegu. — Zdało się im, że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz zapóźno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze. — Raz ostatni czoło jego, oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności. — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo, trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: «W imię Boga, krzyknął, wieczny bój między wami a południowym królem!» Naokół dziesięć opok ten głos powtórzyło i głąb jaru powtórzyło go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich.

* * *

Nieszczęśliwy, teraz dopiero w oczach twoich błysła iskra szalu? — Walczyłeś z nią, dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę, jak płaszcz na ciernie drogi. Lecisz, gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelekła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada — lis, czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny — wilki stanęły z obu stron wawozu. — Jak strzała przeleciałeś, nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi. — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiał się dziko: «Na wyścigi ze mną, przyjacielu!» — on obwinał się naokolo czapki twojej i strugą

sinego światła oblał ci piersi. — Oba równej lekkości i równie znikom, w uścisku bratnim chwilę pędziliście razem. — Lecz on pierwszy zgasł — ty znów, cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

* * *

A zamek na wzgórzu jaśniej setnemi ogniami. — Ogrody, schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy. — Zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego, podany od przodków — i lepszy jeszcze niż przedtem, rzucił się ku ogrodowi — oburącz wgrzył się paznogciami w szczeliny murów — oderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził. Głucho zaszeleściały przyduzione trawy. — On z potrójną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi, i na znajome puszcza się manowce.

* * *

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i owdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych, podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach. — Lecz go nie zatrzymają

teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej, jęknął, przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy, podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwym kamieniem.

* * *

Wśród fontann i pomarańczowych drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wżorem krat srebrnych promienie księżyca. — On równie pewny swego, czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. — Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich grzmia ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien, od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka, tam, gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklane rozwarte promień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł opierając się o filary i poręcze, wszystkim ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłone, co, z nad nich się wrywając, śnieżnie

w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za taką cienką oponą śmierć i życie, powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. — Dziwna, że nie pękło czoło!

* * *

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniaste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami. — To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błysnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele¹⁾ rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liśćmi róż toną. — Czasem westchnie, jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bólach — czują je tylko — sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijołki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdym westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu.

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak łania, obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się

¹⁾ bransolety, naramienniki.

zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc: «Ty!» — Na więcej sił jej nie stało, w tem jednym słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samym miejscu, w tej samej postawie została. — Nic już nie słysząc — przepadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwiała, stanął przed nią i podebrał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: «Jestem!»

*

*

*

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: «Wiedziałam, wiedziałam, że mi się w wyrocznej godzinie ukazesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ah, słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą nokoło, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnięte, — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się. Daj rękę, zbawiona jestem!» I uginając się jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

*

*

*

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na

chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc, że spotka się z niewierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednym jej skrzydłem miłość, drugim będzie chwała. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku, co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się, malowne chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem.

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dzwiecznym, głosem uwodzeń: «Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem? — Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!»

*

*

*

«— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgałam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim — dotrzymam! Lecz wprzód trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ah, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazywać umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecko, że go strąca do grobu. — Książę, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię nasze, prowa-

dził służebnych pod zamek i wołał na ojca: «Oto będą twoi!» — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania, wyciągająca ręce do mnie. Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła: wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ah, niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu niema, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz-li, jak się dzisiaj zowie?» — Młodzieniec, zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: «Jak? Mów, jak?» zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: «Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń nie długa, patrz, takiej samej dłuży¹⁾, co żelazo twoje!»

* * *

To słowo «żona», spadło z jej ust, jak kamień, na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy Kościoła, bo, co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże. — Ah, zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła teraz, siłę mu wszystką od-

¹⁾ , długości.

jęła. — Drży z bojaźni, jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci, przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i płaczą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: «Co zamyślasz? gdzie gonisz, niewierny? Albożes nie przyszedł mnie wyzwolić, jeno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?»

* * *

«O, nie zdradzaj — o, nie opuszczaj! — Za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nie-skażoną twoją — a jeśli objęciom wroga tu mnie sam wydasz, wiesz-li, jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski, pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan młody co pocznie? a sługa jego, mąż mój co uczyni? — Patrz na starych! — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią, czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzył ogrodnik. — Może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewnątrz wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tulasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imię moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy doleczą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił. — Pchnij mnie w serce — wyrwij mnie potworowi! — I w obląka-

niu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała. «Patrz, na jego czole słowo «hańba» sadzone dyamenty¹⁾ — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego, jak z czary, krew moją czystą, krew moją świętą piją! — Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długimi warkoczy.

* * *

Jak piórko ją podniósł: «Przez imię Bogardzicy, nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz, jak płomień kadzideł!» — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorzką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Błada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewczynę do piersi: «Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostró, do ciebie — ale, kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! Potem, gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebac mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem stąd odlecieć musimy!»

* * *

«Niel... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyściu czekać będę na ciebie cier-

¹⁾ wypisane diamentami.

pliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z koleczugi! — Grabarz spostrzeże się z rana i powie: Ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej! — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: «Duszą własną duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!» — i dodał żalobnie: «Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjeby włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O, idźmy stąd razem, siostró — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam nie masz zdrady i ucisku — tam i zemsty nie masz!»

* * *

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słówmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezłowiom, na jednym z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: «Teraz tyś pan i mąż mój na wieki.» — i spuszczaając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w pounurej powadze. — Wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: «Już świtać zaczyna». — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. — Ona zbłądła. — «Oprzyj się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!» — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krążganku.

* * *

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowym kona — śniado błędą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzeńki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontann, wdzięczne kształty filarów, kwieciami umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyaskach zorzy wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośniejsze radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

*

*

*

Wtem głosy rozhuźdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krzyżganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — «Boże, zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!» — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty. — Po murach zamku odbite, wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody śpieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — «Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już

siebie samej, jaki piękny anioł mój!» — »Ah, piękny!» powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wznosił śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu. — Ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwłókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica, wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniosłszy, patrzy na przodków obrazy, niewzruszonymi żrzenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

*

*

*

Wiecie-li, młodzieńcy, wy syny światła, kusiele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby, ostatnie ich miłości na ziemi? — O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed

nim zapala się dalej. — «Naprzód w nieskończoność!» oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad żrzenicą. — Oni modlą się do niej: «Tyś słodka i pocziwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, nie pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierną, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!» — Wtem prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się jak wąż ślizka, naga wśród zamkowych murów i dójdzie progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając — na głos jej ostatni promień odrywa się z niebios i «noc wieczna» staje się na imię światu.

*

*

*

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca. — Czy słyszycie, jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownymi krokami. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

*

*

*

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonięte, martwe wlepiło

się w przeciwną ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — «Precz mi stąd, książę, przybyłe z obcej ziemicy! — Przodki moje, powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty, kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozvodu!» — I słysząc szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się na oścież ogromne podwoje — wchodzi wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: «Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi». — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samym krześle. — Głucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

* * *

Straszno, coraz straszniej! Z kaplicy za łóżem zielonawy odbłyśk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia, jak szaty posągów, w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony

nieboszczki. — Usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie, jak dawniej, rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam, dokąd go wiodła — koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej, aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody; drzwi zaryglowane się przed nią, jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę, wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje, by stanął i patrzył.

* * *

Przebóg! przed łóżem ślubnem, naprzeciwno zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos, brzmiący, jak dźwięk szklanej harmoniki: «Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódzy zabił!» — I postać niewieścia, to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłonią strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: «Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedyne dziecko nie zabijaj!» — to znowu, że prosi się córki: «Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!» — Lecz oni go nie usłyszeli. — Sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na kruż-

ganku. — Pan młody, podchmielony i skoczny, wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim. — Strach naksztalt żywej śmierci starca ogarnął. — Pan młody rzuca się na wygnańca. — Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: «Czego mieszasz spokój umarłych?» — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich — ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej płomieniach postać zbrojnego męża i postać dziewczicy, krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

* * *

Dokoła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce, z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada, wołając: «Ratujcie dziewczkę moją — zamordujcie syna brata mego!» — Oni go w pół biorą, dźwigają. — «Czy noc jeszcze, czy to dzień już? Gdzie jestem?» — i zatoczył się ku szabli, opartej na stole dębowym; dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w rękę, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim. — Grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — «Za mną, tylko za mną!» odpowiedział przerwany głosem i, wpół niesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom, wychodzi na korytarze, śpieszy się, pasując się z niemocą, jak pływacz z falami. — Sługi, spoglą-

dając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

* * *

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejściów wkradają się przedśłoneczne świty. — Wtem nagle zatrzymały się pacholeta, niosący przed panem pochodnie. — Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła, przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — «Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej!» i dopadł starca i uchwycił go za ręce. — «Gdzie żona twoja?» — Pan młody padł na kolana: «Poczekaj, ojczy, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź!» — «A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym. — Widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny, tak jak teraz, byłeś — i trzeci tam stał który dziecię moje zamordował. — Powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy, nagrawającej się z biednego ojca?» — Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego pytania, drży całym ciałem, a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — «Milczysz? ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!» Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie

serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz: «Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna, byłby twoim wrogiem — córkę jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!» — I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szcęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłoń przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnięte ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjekuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku, rozognione promieniami wschodu. — Zresztą pusto, głucho; słyhać tylko szmer blizkich wodotrysków. — Starzec prosto śpieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu.

*

*

*

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. — Olsnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu straszego otoczyły go na-

powrót w jawu promieniach. — Tak, jak widział, że upadli, tuż przed nim rozciągnięte leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu. — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijscia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego koleczudze, powyżej szyletu, co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca szklnią się ich źrenice, a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą twarze ich, oblane śniadym pokojem. — Jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać męka śmierci lekką im była wśród zachwyty ducha.

*

*

*

Starzec jak stanął, tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się. — Przytomni, parci świeżemi przychodniami, zwolna mąszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły, lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Marya! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak, jak zawždy zwykł czynić — niby zadumany, niby nie-

świadom rzeczywistości, wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki, a ognista gorączka płonęła mu na licach. — «Wina węgrzyńska — niech wypiję zdrowie obywatelskie!» — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli dokoła. — «Krew tę obmyć, nim moja dziewczwoja powróci!» — Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił, nie mogąc znieść wzroku jego. — «Ha, wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przekłety — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się». — To mówiąc, szedł na krużganek. — Tu nagle zdał się inną zaprzątiony myślą; przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzył w lewo i w prawo, potem woła: «Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych! Dziwno, że na przechadzkę wyszli sobie tak rano».

* * *

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: «To dla mojej dziewczyny — ciszej, wiara — ciszej — zejdzim ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem». Z pochylonemi głowami wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ścisnęły się i rozpuszczały na przemian, wiodąc w głąb ciemną, to na czyste smug, to wbiegając na pagórki, zasute agrestem. — Stażec zaczął wołać córki po imieniu. — Echa naokoło naśmiewały się z niego, ludzie szlochali, idąc z tyłu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło: «Zmora, zmora, a ja wierzę jej, jakby czemu dobremu — kiedyż wnijdzie mi prawdziwe słońce?» — I rzucił się bu blizkiej sośnie, objął pień rękoma: «Obudź mnie, obudź,

twarda koro!» — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: «Maro sługi, mocuj się z panem twoim — obudź mnie — obudź!» Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniosł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: «Panna młoda pewno tam, nad jeziorem. — Za mną, wiara, dalej!».

*

*

*

Owóz i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach a wód powierzchnia płonie wrzącymi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. — On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką. — Nikt nie śmie przemówić, nikt radzić, by wrócił do zamku. Przywykli słuchać woli nieugiętej pana i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda naksztalt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się oblakanie! — «Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki? — Hej, sześciu z was bierzcie się do wiosel — i my też popłyniemy za nią!» — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — «Czego jęczycie tak dzisiaj? — czy woda wam twardsza?» — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za nimi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem. — Dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czołen

*

*

*

Wysepki kryły się jedne za drugimi — każda wieńcem sitowia opierścieniona. — Tu i ówdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy dopływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęczą zawisła nad płynącymi — na każdym skrócie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce: «Tu, tu ją znajdziemy», a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: «Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?» — Tak opłynął całą wyspę drużynę i czystym jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok, a wielka bladeść rozpościera się po jego twarzy. — Zanurzył ramie w wodę po łokieć i, słuchając szmeru fali, głośno się rozśmiał: — Stanęli wioślarze, czekają, ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i, odwróciwszy się, spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni; — wtem krzyknął: «Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!» — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli, co się stało, i patrzą na wodę, wirującą w miejscu, kędy zapadł stary pan z wiernymi sługami. — Wrócili po kilku chwilach pływalce, niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbową złożyli pana. — Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

*

Tak obce księżę zagrabiło zamek starożytny
cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło po-

grzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. Potem wyprawilo towarzyszym stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowano z kielichem w rękę, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygaś. — Lecz w górach pamiętają wodza, który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzód zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór, na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Łada dzień za niemi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one, dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szумы harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym prochy twoje noszą imie cudzoziemskie, nienawistne męża. — Wokół na zielonem świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatera duszę. — Nazwali cię oni szydrczem imieniem: «Kobieta», kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i, rozchodząc się, wołał: «Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie!»

BIBLIOTEKA